ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 155.

№ 11. | Warszawa, 1 czerwca (19 maja) 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Głuszce.

PRAWO ŁOWIECKIE W POLSCE

w wiekach średnich.

(Ciąg dalszy).

Wyższe rodzaje polowania, wchodzące w zakres *venationis magnae*, były: *cum retibus* — z sieciami otaczającemi pewien obszar lasu, a zapobiegającemi wymknięciu się zeń zwierzyny podczas łowów. Dalej rycerski sposób polowania z psami *cum canibus*. Ten rodzaj polowania był najbardziej rozpowszechniony, a uprawiał go przedewszystkiem książę, potem rycerstwo, a nawet sołtysom specyalnemi przywilejami było one dozwolone [1]). Psy były rozmaitych gatunków, stosownie do swego przeznaczenia. Spotykamy tam wyżły (*canes venatici qui dicuntur viszli* [2]), *valtres odoriferi* [3]), *melampi* [4]), *canes aduvatici, leparavii, „canes ursuales alias curcze", canes dicti yelyenye"*) [5]), a Jagiełło sprowadził dla swojej psiarni słynne podówczas, psy medyolańskie [6]).

Również bardzo rozpowszechnione i z pasyą uprawiane były łowy z sokołem, układanym specyalnie do tego. Sokoły, jastrzębie i krogulce różnych gatunków sprowadzano nieraz z daleka i ogromne za nie sumy płacono dla dogodzenia namiętności myśliwskiej, a zające, kuropatwy i kwiczoły padały najczęściej ofiarą tych łowów [7]). Polowanie z sokołem też było uważanem jako najszlachetniejszy rodzaj rozrywki, a ciekawych bliższego zaznajomienia się z niemi odsyłam do obszernej pracy Kazimierza hr. Wodzickiego, p. t. „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich".

[1]) Permittimus eidem sculteto posteritaque sue canes venaticos servare et habere pro sua operis deductione et cum hoc venandi habeat potestatem. Kod. Malop. DCCCCLXIV. Kod. Wielkop. 1964, 1649.
[2]) Kod. Wielkop. 1649.
[3]) Kod. Wielkop. 1964.
[4]) Ibid.
[5]) Rachunki dworu Jagiełły.
[6]) Ibid. str. 394.
[7]) Nisos ad venationem perdicum sive leporum, quiscularum et aliorum animalium sive volucrum quiscunque generis existunt. Kod. Wielkop. 1964.

Specyalny rodzaj polowania polegał na tem, że zamykano pewien obszar leśny, waląc i ścinając pnie drzewne i robiąc w ten sposób zasieki ze wszech stron. Z pomocą naganki spędzano tam zwierza z całego lasu i zamykano, jak gdyby w zwierzyńcu. Ten rodzaj polowania zwano rozmaicie, mianowicie „kłoda" [1]), od powalonych kłód drzewnych, „grodzie" [2]) (od grodzić, ogradzać pewną przestrzeń), a po łacinie zwano to *indagines, clausulae, structurae (capriolorum, leporum)*. Prawo do polowania w ten sposób otrzymywali niekiedy i sołtysi, a obszary, objęte tem ogrodzeniem, obejmowały nieraz znaczne przestrzenie.

Bardzo często znajdujemy w dokumentach nadania prawa łowów jedynie na niektóre z wymienionych gatunków zwierzyny. Nie należy tego jednak uważać za nadawanie prawa polowania specyalnie wymienionych zwierząt, lecz może to być ogólne nadanie, np. *venationis magnae*, ale ponieważ w danej okolicy innych zwierząt niema, prócz wymienionych w dokumencie, dlatego o tych tylko dokument mówi.

2. Łowiectwo jako regale książęce.

Na samym wstępie historycznych naszych dziejów, spotykamy się już z władzą książęcą, bardzo silnie uwydatnioną, obejmującą i koncentrującą w sobie wszystkie najważniejsze czynniki życia społecznego, zawarte w pojęciu *ius ducale* — prawa książęcego. Nic dziwnego przeto, że silna ta władza książęca, zagarnęła dla siebie, jak i wiele innych ważnych korzyści, prawo łowów na całym obszarze ziem, podlegających jej władzy.

Kwestya, jak do tego przyszło, dałaby się odnośnie do najdawniejszych czasów wytłómaczyć, — z powołaniem się na to, cośmy już powiedzieli o powstaniu *venatio parva i ven. magna*, — mianowicie o zarezerwowaniu dla naczelnika hordy, czy plemienia, a w dalszym ciągu każdego władcy, łowów na większego zwierza, które nie mogły się inaczej odbywać, jak

[1]) Volumus eciam quod nullus ipsum abbatem et fratres in venatione, que kloda vulgariter dicitur impedire presumat. Kod. Wielkop. 1042.
[2]) Eciam sculteto damus structuram leporum capriolorum videlicet Grodze, quanto longius struere potest. Rzyszczewski-Muczkowski. Cod dipl. Pol. II. DXXI. Damus fericipia seu sepes ferales id est grodzy, ibid. I. CXXXII.

Z POLOWAŃ
w Ameryce Południowej.

II.

Jaguar i puma.

(Ciąg dalszy).

Koniec 1880 i początek 1881 roku spędziłem w miasteczku Yurimaguas, handlowej osadzie, położonej przy zlaniu się rzek Huallaga i Paranapura. Pod koniec mego tam pobytu, pojawił się jakiś szkodnik, niszczący co nocy po jednej, a czasami po kilka sztuk trzody chlewnej. Z niebywałem zuchwalstwem powtarzał te swoje kradzieże, oszukując czujność właścicieli, a częściej jeszcze, drwiąc z niej sobie. Ponieważ dokonywał tego co nocy w innej części osady, uchodziło mu to bezkarnie w ciągu paru tygodni. Niektóre osoby, wracające o spóźnionej porze do domy, spotykały go, przechadzającego się po ulicach miasteczka; miał to być, według nich, wielki jaguar, kulawy na jedną nogę; przypuszczano więc, że to ten sam, którego postrzelił wspomniany powyżej chłopak indyjski, gdyż od owego czasu nikt w dużym promieniu jaguara nie zabił. Kilkakrotnie udawano się do mnie z prośbą o zabicie szkodnika, nie decydowałem się jednak, dlatego, że co nocy zmieniał miejsce swych wizyt; a z drugiej strony oczekiwałem nadejścia księżycowych nocy. Dopiero następujący wypadek zdecydował mnie ostatecznie.

W pierwszych dniach kwietnia 1881 r. obudzony zostałem niezwykłym hałasem: było to stado koni i mułów, przeciągające, jak burza, ulicą; jednocześnie usłyszałem krzyki sąsiadów: „tigre, tigre". Zarzuciwszy czemprędzej ubranie na siebie, wybiegłem na ulicę, gdziem zastał małą grupę ludzi, otaczających nieżywego wieprzka. Ofiara ta nosiła na karku głębokie ślady zębów drapieżnika. Gdyśmy nad nim debatowali, jeden z sąsiadów odkrył o 30 kroków dalej, pod strzechą świeżo budującego się domu, trupa drugiego wieprzka, już stężałego, który oprócz śladów kłów na karku, miał lewy bok czaszki wygryziony i mózg starannie wylizany. Była wtedy godzina $4\frac{1}{2}$ zrana, wkrótce też dnieć zaczęło. Jak się potem okazało, nocy tej psotnik zamordował ośm — wyraźnie ośm — wieprzy, w różnych częściach miasteczka, ograniczając się u wszystkich na wylizaniu mózgu. Ta bezczelność, oraz lekkomyślność, że już drugiego wieprzka zagryzł w owym budującym się domu, zdecydowały mnie do zrobienia zasadzki, żywić bowiem mogłem słuszną nadzieję, że nie jednej, to drugiej lub trzeciej nocy wrócić tam musi, gdyż wieprze dom ten obrały sobie za miejsce noclegu, znajdując pod

w licznym orszaku. Przywilej ten, w przedhistorycznych czasach powstały, tradycyjnie mógł utrzymywać się wśród dalszego biegu wieków historyi, tak, że odnajdujemy go jeszcze w wiekach średnich, zachowany w odniesieniu do księcia. Zgadzał on się najzupełniej z istotą władzy książęcej, która go też do swoich uprawnień wlącza i ogłasza się za właściciela prawa łowów w całym kraju, wszystkich innych od nich—prócz uprawnienia ogólnego łowów na drobną zwierzynę — wykluczając. W uprawnieniach tych księcia odnajdujemy i ów przedhistoryczny moment łowów w licznym orszaku, który teraz zwie się *„venatio cum magna tuba“* i jest również księciu zastrzeżony.

Taki mógłby być hypotetyczny wywód i początek *regale* łowieckiego. Postarajmyż się jednak przedewszystkiem o źródłowe udowodnienie jego istnienia.

Przemawiają za tem niektóre pośrednie dowody, z dokumentów wysnute, bezpośrednich bowiem, pozytywnych wiadomości o istnieniu *regale* łowieckiego brak nam zupełnie. I tak:

Świadczy o tem to, że książę może nadawać prawo łowów nawet w cudzych dobrach, i tak przywilej Kazimierza, księcia kujawskiego i łęczyckiego, z r. 1250 mówi: *eciam si villa fuerit ducalis vel militis vel cuiuscunque alterius... sibi soli liceat venari* [1]).

Dalej książę ma prawo również udzielać prawa łowów w całem państwie i na całej jego przestrzeni, bez względu na właściciela gruntu — i często z niego korzysta [2]).

Prócz tego możnaby uważać, jako późniejszą pozostałość wyłącznego i powszechnego prawa polowania księcia na grubszego zwierza, to także, że księciu, podróżującemu po kraju, raz lub dwa razy do roku przysługiwało prawo polować wszędzie, nie oglądając się na to, czyjem jest terytoryum, na którem poluje [1]). Conajwyżej, specyalny przywilej zapewnia, że książę nie będzie czynił zwłoki dla polowania [2]), ani nikogo ze swej służby nie będzie posyłał tam na polowanie. Nie tylko bowiem sam książę osobiście wykonywał swe prawa w tym kierunku, ale utrzymywał liczne rzesze służby łowieckiej, o której niżej powiemy.

Źródłowych wiadomości z czasów panowania bezwzględnego *regale* łowieckiego brak nam zupełnie, możemy jedynie wnioskować z niektórych późniejszych już z XIII wieku źródłowych danych o ówczesnych prawnych łowieckich urządzeniach. Zapewne jednak to, co powiemy o ludności, przeznaczonej łowiectwu, i o łowieckich ciężarach, będzie się odnosić także do tych czasów.

Poszczególne wypadki nadawania prawa łowów, zwłaszcza klasztorom, poczynają się w drugiej połowie XII wieku i ciągną się przez pierwszą połowę XIII wieku. Dopiero druga połowa wieku XIII przynosi znaczną, coraz to bardziej potęgującą się ilość nadań prawa łowów, tak, że powodują one poniekąd przemianę dotychczasowych stosunków, a mianowicie pewne ograniczenie *regale* łowieckiego.

Wogóle przysługuje i nadal księciu powszechne prawo łowów w całem państwie, ale już nie wyłączne, istnieją już bowiem i inne tytuły prawne, na podstawie których wykonuje się prawo łowieckie, choć zawsze tylko z zezwolenia księcia wypływające. Pod względem prawnym nie zmieniło się właściwie nic. Książę, jak i pierwej, jest podmiotem prawa polowania w całem państwie, ale wskutek nadań tego prawa w ogromnej ilości osobom prywatnym, szlachcie i prawnym klasztorom i kościołom, faktycznie stan dotychczasowy, choć nie prawnie, ulega pewnym zmianom. Obecnie książę ograniczony jest tylko na terytorya, nie objęte przywilejami, prócz, gdy w dorocznych po-

[1]) Ulanowski, Dok. kuj. i maz. nr. 13, (maz.).

[2]) Preterea damus, donamus et conferimus simili modo perpetuo eidem nostro Phalislao subcamerario nostro ac suis posteris omne Jus venationes excercendi in toto Nostro Ducatu exceptis bonis et villis mense nostre Ducalis. Kod. Mazow. LXXI. (Dokument ten udowadnia także pierwsze twierdzenie).

Volumus eciam ut prescriptus dominus Stoygnews voluntatem ac potestatem venandi, ubicumque sibi in nostro dominio videbitur expedire non solum in minoribus feris sed eciam maioribus habeat omnimode liberalem. Ulanowski, dok. kuj. i maz. str. 259. Patrz także Rzyszczewski-Muczkowski, Cod. dipl. Pol. CXXII. z r. 1559 i Cod. dipl. Silesiae, T. I. XV.

[1]) Nec dux nec alius venabitur pro eo nisi cum ipsum modo transire contigerit. Kod. Wielkop. 234. Venaturam ipsius abbatis liberam facio, preter tunc cum dux semel ultra, bis in anno venatum yerit. Kod. Wielkop. 33. również Kod. kat. krak. LXXXVIII. r. 1206.

[2]) Et moram ibi non faciet propter venacionem nec alias manens, mittet ad venandum. Kod. Wielkop. 234 z r. 1292, także Ulanowski, Dok. kuj. i maz. str. 188 z r. 1255.

---

obszerną, na samych tylko słupach wznoszącą się strzechą suche podłoże w czasie trwającej podówczas pory dżdżystej.

Na belkach, pod dachem, na wysokości kilku metrów nad ziemią kazałem położyć kilka desek, a do najbliższego słupa przywiązałem wieprza, jako zanętę; tym sposobem, ukryty pod dachem, mogłem widzieć zwierza i być przez niego widzianym dopiero wtedy, gdy się już w bliskości wieprzka znajdować będzie, zatem na odległość 10 do 15 kroków.

Muszę objaśnić czytelników moich, że przez cały czas podróży mojej po Peru używałem strzelb kapiszonowych, gdyż bronie odtylcowe, ze względu znacznego oddalenia od centrów cywilizacyi, okazują się niepraktycznemi w dzikich okolicach Ameryki południowej. Otóż dnia tego strzelbę moją wymyłem i wyczyściłem nadzwyczaj starannie, a nabiłem ją dopiero w chwili wyjścia na zasadzkę, aby wskutek nadzwyczaj wilgotnego klimatu tych stref, proch nie zamokł. Zwróciłem też szczególną uwagę, czy proch w brandkach wyszedł. Sąsiadów, dwóch najbliższych domów, ostrzegłem, aby się w nocy cicho sprawowali i wcześnie spać poszli.

O godzinie 9-ej wieczorem zjawił się ze strzelbą młody Indyanin z Jeberos, będący na usługach u p. Sisley'a, a przytem zapalony myśliwy, prosząc, abym go wziął ze sobą na zasadzkę, na co się chętnie zgodziłem, układając się z nim, że ja będę czatował do 3-ej nad ranem, a on tymczasem się prześpi, poczem się zmienimy. O godz. 11-ej, gdy już się sąsiedzi na spoczynek udali, wdrapaliśmy się na nasze stanowisko; chłopak do snu się ułożył i natychmiast zasnął; ja zaś, rozciągnąwszy się na brzuchu, z kurkami odwiedzionemi, cierpliwie czekać zacząłem. Ze stanowiska, jakie zajmowałem, dzięki nizko spuszczającemu się dachowi, mogłem tylko widzieć połowę szerokości ulicy, oblanej srebrzystem światłem księżyca, blizkiego pełni, oraz pozostające w cieniu wnętrze domu, w którem przywiązany wieprz się ułożył. Naprost mnie widać było część chlewa, a raczej ogrodzenia, w którem kilka sztuk nierogacizny chrząkaniem dawało znać o sobie.

Wszystko sprzyjało mi wyśmienicie, gdy około godziny trzy kwadranse na pierwszą nadciągnęła niewidzialna dla mnie grupa ludzi i zatrzymując się tuż przy moim domu, żywo rozprawiać poczęła. Przeklinałem ich w duchu, słusznie przypuszczając, że swą rozmową zwierza do innej części miasteczka skierować mogą, i już chciałem im powiedzieć, żeby sobie do licha poszli, gdy na szczęście sami sobie powędrowali. Leżałem tak, rozmyślając nad tym niefortunnym dla mnie wypadkiem, gdy nagle w kwadrans zaledwie potem, gdym się tego najmniej spodziewał, spostrzegłem się wobec drapieżnika: pewnym, choć wolnym krokiem przecinał skośnie ulicę, kierując się ku wspomnianemu chlewkowi, gdyż, pomimo że od przywiązanego wieprzka dzieliła go ledwie przestrzeń trzech kroków, nie zauważył go jeszcze. Ręce miałem

dróżach przejeżdżać będzie przez uprzywilejowane nawet dobra, a prócz tego pozostają mu niektóre jeszcze specyalne atrybuty.

Jedynie księciu zastrzeżonem pozostaje w łowach używanie trąby *„magna tuba“*, a jest ona niejako symbolem książęcego, powszechnego, żadnemi granicami nieskrępowanego prawa łowieckiego; to też, gdy książę wyjątkowo tylko — nadaje komu takie prawo, otrzymuje niekiedy obdarowany trąbę (*tuba in venatione et exercitu*). Zwyczaj ten spotykamy na Śląsku[1]) i Mazowszu[2]) (*venatio cum magna tuba*); łączy się z tem uprawnienie do polowania w licznym orszaku, księciu jedynie pierwotnie przysługujące, i jest to rodzaj honorowego odznaczenia.

Również książęcym atrybutem pozostaje polowanie na tura i żubra, o którem już wyżej mówiliśmy. Zdarzają się jednak wypadki nadawania łowów i na nie osobom prywatnym[3]). To samo odnosi się do polowania z sokołem i prawa utrzymywania sokołów.

Ściśle ekonomiczny charakter miało polowanie bobrów — znakomite źródło dochodów, i dlatego zastrzeżone księciu. W dokumentach mamy wskazówki, że najtrudniej książęta udzielali prawa łowienia bobrów i później, niż inne polowania, ogólnie biorąc, dostało się ono szlachcie. Klasztory za to często wyposażano tem uprawnieniem, chcąc klasztorowi przysporzyć dochodu. Dla łowów i dozoru „gonów“ bobrowych zorganizowany był osobny rodzaj służby łowieckiej, zwany bobrownikami, o której niżej powiemy.

Dr. Tadeusz Mańkowski.

(*„Łowiec“*). (*C. d. n.*)

[1]) Kod. dipl. Silesiae, T. I. XV.
[2]) Kod. Mazow. r. 1295.
[3]) Kod. Wielkop. 744, r. 1296. Cum venationibus cum magna tuba ad universas partes totius nostre terre et ducatus.

ŻEROWISKO DLA JELENI NA GRUNTACH MOKRYCH.

Znany rolnik i hodowca, Ludwik Dach, którego pracę o żerowisku dla dzików drukowaliśmy w ostatnim „Kalendarzu Myśliwskim“, udziela kilka cennych wskazówek w sprawie obioru roślin na żerowisko dla jeleni na gruntach nizinnych, bagnistych, nadrzecznych, na łąkach i t. p.

Zauważyć należy na wstępie, że prawie wszystkie rośliny, odpowiednie na żerowisko dla jeleni, służyć mogą również w tym celu sarnom.

Największe usługi oddaje roślina, zwana muchotrzewem albo mokrzycą, a zwłaszcza gatunek *Poligonum Sacchalinense*, który ma 4 metry wysokości, posiada olbrzymie liście i rozrasta się już wczesną wiosną, gdy wszelkie inne rośliny leżą jeszcze martwe. Korzenie tej rośliny nabyć można tylko w większych zakładach ogrodniczych, lub w ogrodach botanicznych. Z początku jednak trzeba ogrodzić miejsce, gdzie zasadzono tę roślinę, ponieważ zwierzyna ogryzałaby każdy listek wyrastający, nie dając się rozwinąć należycie tej roślinie. Nie napotykając przeszkód, mokrzyca ta rozszerza się szybko i tworzy bardzo gęsty kierz, który przyrasta ciągle w znacznej ilości.

Roślina ta znosi dosyć silną wilgoć, a nawet miejsca zupełnie mokre; można ją też hodować z pożytkiem nad brzegami rowów, rzek i t. d.

Trzeba jednak uważać, żeby nie brać pokrewnej jej rośliny, która na żerowisko dla zwierzyny jest zupełnie bezużyteczna, aczkolwiek jest bardzo podobna do powyżej opisanego gatunku. Jest to mokrzyca o śpiczastych liściach (*Polygonum cuspidatum*), twarda, sztywna, szorstka, której łodygi i liści nikt dotknąć nie może. Nasza użyteczna, powyżej wymieniona mokrzyca, kwitnie w październiku i listopadzie, a przeto nigdy prawie nie owocuje; natomiast *Polygonum cuspidatum* przeciwnie, kwitnąc we wrześniu, daje często nasienie. Wielu jednak hodowców myli się, nie rozróżniając tych gatunków. W ostatnich latach wielokrotnie mi pokazywano części rośliny *Cuspidatum*, którą wzięto za *Sacchalinense*!

Mając prawdziwe *Polygonum Sacchalinense*, nie trzeba się już starać o inne, wysokie podkrzewy bagniste, które dają jednocześnie gąszcz silny i żerowisko, jak np. dziełżan (*Helenium*) zwany inaczej „Helenką słonecznikową“, lub dziewiosił, czyli oman wielki *vel* pospolity (*Inula helenium*). Zagraniczne stacye doświadczalne nad bagniskami porobiły w ostatnich latach bardzo ważne doświadczenie nad roślinami bagniskowemi, odróżniając liczne gatunki i wskazując,

---

podówczas pod piersi stulone; ażeby więc się złożyć, musiałem je na łokciach oprzeć, przez co spowodowałem dość lekki szelest. Lecz tego dość było dla delikatnego ucha drapieżnika: stanął natychmiast i z głową wzniesioną do góry, patrzył na mnie zuchwale, nie zdradzając najmniejszego przestrachu. Pozycya była wyśmienita: zwierz stanął, jak wryty, w części ulicy, oświeconej przez księżyc, bokiem do mnie; cała postać wyraźnie zarysowywała się na białym piasku ulicy; ja byłem w cieniu i mogłem niemal rozróżniać muszkę mojej strzelby. Zmierzyłem mu się prosto w komorę, ściągnąłem cyngiel (w podobnych wypadkach ani ręka nie drży, ani serce zbytnio nie bije) i... trzask, rozbity piston spalił na panewce. Widziałem tylko dwa olbrzymie susy, jakie spłoszony zwierz zrobił potem i znikł mi z oczu. Tylko myśliwy, i to myśliwy, znający trudność okazyi, jaka mi się z rąk wymknęła, zrozumie, com ja w tej chwili przeszedł[1]).

[1]) Lewa lufa, która mi właśnie klapnęła, nabita była francuską kulą eksplodującą cal. 16. Następnego dnia, podsypawszy prochu na brandkę, strzeliłem do celu i rzecz dziwna, kula nie eksplodowała, uderzając o mur, a była to pierwsza z 23-ch, jakie przedtem miałem sposobność wystrzelić. Zdarzało mi się przedtem znajdować kule, porzucone od 5-ciu miesięcy na wilgotnej ziemi mojego szałasu w Huambo, a pomimo to, rozrywały. Tę zaś nieszczęśliwą kulę wyjąłem z pudła w chwili nabicia strzelby. Przeciwnie prawa lufa, nabita loftkami, a którą rezerwowałem na przypadek chybionego strzału i rzucenia się zwierza, wypaliła bez podsypki; 12 loftek podziurawiło centrownie arkusz papieru na odległość 25 kroków. Jakieś fatum ciążyło na całem tem mojem spotkaniu z drapieżnikiem.

Napróżno przesiedziałem tę noc aż do świtu i cztery następne noce. Zwierz znikł widocznie z okolicy, gdyż od tego dnia szkody w nierogaciźnie ustały zupełnie.

Była to, jak mnie się zdaje, puma bardzo wielkich rozmiarów, tęga w ciele, ze stosunkowo wielką głową (zapewne stary samiec). Już ta okoliczność, że drapieżnik ten jednej nocy ośm wieprzy zagryzł, kazała mi wątpić, aby to był jaguar, który zwykle nie kontentuje się wylizaniem mózgu i wyssaniem krwi, lecz zjada, co może, i wraca następnych nocy dla dokończenia uczty. Na odległość dwunastu kroków nie mogłem wprawdzie widzieć przy oświetleniu księżyca, czy miał centki lub nie, lecz wysmuklejsza postać i wyniośléjsze nogi nie pozostawiły we mnie najmniejszej wątpliwości, że to była puma. Jaguar, dzięki swym krzywym, przednim nogom, chodzi, jak kaczka, balansując się na obie strony, czegom w tym wypadku nie zauważył.

Pierwszy skok po klaśnięciu pistonu, mierzył pięć kroków; łatwo go było wyróżnić na dość twardym w tem miejscu gruncie, po rysach, jakie zwierz spadając, pazurami naznaczył.

Jan Sztolcman.

(*Dok. nast.*)

jaką mieszaninę traw koniczyny należy uprawiać na gruntach bagnistych. Szczegółowe wskazówki udzielają listownie po otrzymaniu listów z zapytaniami. (Zapewne i nasze stacye w Sobieszynie i inne nie odmówiłyby swej odpowiedzi i rady).

Dalej można w tym celu sadzić różne gatunki koniczyny, groszek bulwowy, ozdobne wyki, aromatyczne zioła. Na torfowiskach przyjmują się dobrze te rośliny po odpowiedniem kompostowaniu gruntu.

Szczególny nacisk kłaść należy na hodowlę gryki (tatarki). Wskazane jest także mieszanie jej z odrobiną owsa i białego grochu. O ile są bardzo mokre miejsca na łąkach, prawie muliste, które nigdy nie wysychają, albo grząskie pobrzeża rzek lub rowów, to należy na tych miejscach sadzić *Salix aurita, cinerea* i *repens*. Taki biel roślinny smakuje bardzo zwierzynie. Trzeba również wziąć pod uwagę niektóre rośliny, zalecone dla dzików.

Dla lepszych łąk polecać można do hodowli: koniczynę szwedzką, *Trifolium hybridum*, która rozrasta się bardzo wcześnie i udaje się na takich gruntach, gdzie czerwona koniczyna już nie wschodzi prawidłowo.

Szczególnie pamiętać należy przy tym jadłospisie o roślinach, które wcześnie się rozrastają, ponieważ grunt bagnisty zatrzymuje w sobie długo następstwa zimy mroźnej, a przeto jego łąki zazwyczaj bardzo późno zaczynają dostarczać żeru dla zwierzyny. Tutaj jednak udaje się dobrze, rozrastając w liczne kępy oddzielne, biedrzeniec, *Pimpinella*, roślina z rodziny baldaszkowych (*Umbelliferae*), należąca do klasy piątej, rzędu dwusłupkowego, według układu Linneusza; szczególnie się udaje jej gatunek *pospolity* (*P. saxifraga*), który jest trwały, ma zapach ostry, korzeń pełny błękitnego soku i jest ulubioną karmą zwierzyny; dalej krwawnik pospolity (*Achillea millefolium*), zwany także krwawnikiem-zeniszkiem, który ma smak gorzkawy, zapach aromatyczny, roztarte główki i łodygę od 2 cali do 3 stóp niekiedy wysoką; wreszcie żywokost (*Symphitum asperrimum*).

Z wielu względów chwalą te rośliny hodowcy, którzy w różnych miejscowościach robili doświadczenia i przekonali się, że wogóle zwierzęta przeżuwające, a także wieprze, bardzo lubią te rośliny. Rozmnażanie odbywa się bez kłopotu; zasadza się tylko latorośle, które wydaje pień macierzysty.

Na suchszych miejscash, lub na tych, które już są dłuższy czas pod wpływem kultury, rosnąć już może babka, czyli babie liście (*Plantago lanceolata*), który ma właściwości nader pożyteczne. Tak np. znosi bez szkody ustawiczne, krótkie odgryzanie przez zwierzynę.

Koniczyna, zwana broda Jowisza (*Anthillis barba Jovis*), lub koniczyna jodłowata (*A. vulneraria*), wymagają zawsze dość sporo wapna w gruncie, lecz wtedy przedstawiają wysoką wartość.

Co się tyczy mieszania nasion, można polecić następujące recepty:

Alopecurus pratensis 8 kg., *Festuca pratensis* 8 kg., *Avena flavescens* 8 kg., *Avena pubescens* 4 kg., *Avena elatior* 4 kg., *Lolium italicum* 12 kg., *Lolium perenne* 4 kg., *Anthoxanthum odoratum* 2 kg., *Trifolium hybridum* 6 kg., *Tetragonolobus siliquosus* 6 kg.; razem 25 kg. nasion trawnych i 12 kg. nasion koniczyny na 1 hektar mokrej, lecz już dobrze zaopatrzonej w wapno, ziemi.

Phleum pratense 10 kg., *Dactylis glomerata* 4 kg., *Festuca arundinacea* 4 kg., *Butomus umbellatus* 6 kg., *Holcus lanatus* 2 kg., *Agrostis vulgaris* 4 kg., *Festuca rubra* 8 kg., *Antoxanthum odoratum* 2 kg., *Trifolium pratense* 4 kg. *Trifolium repens* 2 kg., *Trifolium hybridum* 6 kg.; ogółem 50 kg. nasion trawnych i 12 kg. nasion koniczyny na hektar.

Dla celów hodowli zwierzyny trzeba nieco inaczej postąpić z tą mieszaniną, aniżeli dla celów rolniczych. Trzeba mianowicie zmniejszyć ilość wysokorosnących traw i ziół na rzecz niskich, lecz obfitujących w liście, o ile to nie wypadnie zbyt drogo.

Byłoby pożądane, aby hodowcy, mający doświadczenie w tym kierunku, zechcieli od czasu do czasu przysyłać wiadomości o wynikach doświadczeń, celem zapoznania się z niemi szerszego ogółu myśliwych.

O.

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Kuropatwy zaliczyć należy do ptaków roztropnych, ostrożnych i bojaźliwych. Doświadczenie życiowe wyrabia w nich spryt łatwego dostosowania się do warunków, w jakich się znajdują. Z drugiej strony jednak można powiedzieć, że kuropatwy dary przyrodzone, jakie posiadają, nie zawsze potrafią w całej pełni wyzyskać. Zdarzają się atoli wypadki, że kuropatwy wykazują zdolności, których istnienia niktby nie przypuszczał. Oto np. w razie potrzeby umieją one nawet pływać. Kazimierz Wodzicki obserwował dwa stadka, które, zagrożone niebezpieczeństwem, dolatywały do wody większych rozmiarów i płynąc, uchodziły przed wrogiem. Spostrzeżenie to opisuje nasz znakomity ornitolog w taki sposób:

„Pewnego razu poleciliśmy pędzić stadko kuropatw, a sami ułożyliśmy się na przeciwnym brzegu wody, aliści widzimy, jak kuropatwy, wiedzione przez koguty bez wabienia brną w wodę, dokąd była płytka, a następnie, na głębszej w ściśnionej kolumnie płynęły, zdaje się, bez wysiłku. Płynąc, trzymały kuropatwy ogony wzniesione do góry, a skrzydła od ciała nieco rozchylone. Kiedy wylądowały, otrząsały się podobnie, jak to czynią kury po kąpieli w piasku, przyczem najmniejszego znużenia nie zauważyliśmy“.

Na dowód tego, że kuropatwy niejednokrotnie nie wyzyskują należycie zmysłów, któremi je natura obdarzyła – podaję następującą okoliczność. Wiadomo, że kuropatwy mają wzrok bardzo dobry, zoczą one jastrzębia, lub innego groźnego drapieżnika pod obłokami, a pomimo to, nie chronią się natychmiast w bezpieczne ukrycie, ale wciskają główki, jak mogą, głęboko między trawy i t. p., co myśliwi zowią „przypadają“, czyli przysiadają: w zimie zaś wciskają się główkami w śnieg i w takiej pozycyi wyczekują, aż niebezpieczeństwo minie, lub kiedy drapieżnik pojmie bez oporu swą zdobycz,—wówczas dopiero pozostała reszta ze stadka, słysząc rozpaczliwe głosy pojmanej, podrywa się i chroni w miejsce więcej bezpieczne.

Dobroci wzroku dowodzi również rozpoznanie owadów, muszek, ziarn i t. p., które służą im za pożywienie, na kilka lub kilkanaście kroków, a natomiast dozwalają człowiekowi lub wyżłowi podejść dosyć blizko. Zmysł słuchu jest u kuropatw również dobrze rozwinięty, kroki myśliwego np. słyszą na daleką odległość, a pomimo to wyczekują i nieraz dopiero z pod nóg się podrywają.

Co się tyczy zmysłu smaku, powiedzieć można, że kuropatwy nie są wybredne, za pożywienie bowiem służy im wszystko, co tylko strawić mogą.

Zmysł czucia, o ile można wnioskować z zachowania się kuropatw okaleczonych, jest mniej rozwinięty.

Węch mają kuropatwy, tak jak zresztą i wszystkie ptaki, słaby.

Kuropatwy, tak jak wogóle ptaki kurowate, są towarzyskie, żyją familijnie w stadkach. Podczas zi-

my łączy się czasem nawet kilka rodzin w jedno stadko, aby łatwiej przetrwać ciężkie dla nich czasy. Jak już wiadomo, kuropatwy żerują tylko w dzień, a w nocy śpią.

Wyrosłe kuropatwy są na zmiany powietrza bardzo odporne; czas słotny jest dla nich przykry i szczególnie odczuwają go młode, wogóle jednak można powiedzieć, że kuropatwy od pierwszej młodości są bardzo zaradne i wytrwałe. Często zdarza się widzieć, że młode jeszcze dobrze nie obeschłe, a niekiedy nawet z resztami skorupki na ciele, żwawo biegają i rozumieją bardzo szybko znaki, co do zachowania się, udzielane przez starki. Kuropatwy, wylęgłe pod kurą, jakkolwiek objawiają znaczną siłę życiową, to jednak przez 48 godzin są podobnie niedołężne jak pisklęta kur domowych. Pisklęta na dany znak przytulają się momentalnie na miejscu, gdzie którą ostrzeżenie zastanie, i można je z ziemi wyzbierać, a żadne nie ruszy się z miejsca przed odnośnem zezwoleniem starek.

Stare kuropatwy w okresie wychowywania młodych, zdradzają pewien spryt (który i inne ptaki zwykle odczuwać), a objawia on się tem, że w niebezpieczeństwie, np. za zbliżeniem się człowieka, dają pisklętom znak charakterystycznem świerkaniem, aby przywarowały, a same podrywają się; kura odlatuje dalej, a obserwując jednocześnie nieprzyjaciela, usiłuje go obejść i wrócić niepostrzeżenie do młodych, gdy tymczasem kogut udaje, że nie może fruwać, podrywa się, to znowu opada, chwilami cieknie i pomaga sobie skrzydłami, co sprawia szelest, i tym spospobem odwraca uwagę nieprzyjaciela od młodych, a kieruje ją na siebie. Postępowanie takie udaje się nieraz kuropatwom i nieświadomego odwodzą istotnie dość daleko od młodych, a kiedy się starki w dalszym ciągu natarczywie atakuje, wówczas podrywają się i śmiało dalej odlatują. Jeżeli kogut uważa, że niebezpieczeństwo zażegnane, wabi, na co kura odpowiada i natychmiast wraca chyłkiem na ciekach do młodych.

Na noc chowają się młode, jak zwyczajne kury, pod skrzydła starek.

Kuropatwy, ciągle niepokojone, stają się coraz to więcej płochliwe, ale nie ostrożniejsze, więcej niedowierzające, ale nie mądrzejsze.

Kuropatwy, wskutek swych własności ścisłego trzymania się miejscowości, gdzie się wylęgły bardzo trudno przechodzą do sąsiednich okolic, to też jeżeli w danej miejscowości zostaną wytępione, długo potrzeba czekać, ażeby wyludnioną pozycyę zajęły; w takich wypadkach łatwiej będzie wytworzyć zwierzostan z kuropatw sprowadzonych.

Kuropatwy odznaczają się wielką pieczołowitością o swoje potomstwo; kura zaznacza ten objaw już w czasie wysiadywania, schodząc bowiem z gniazda, pokrywa jaja źdźbłami traw, piórkami i t. p., przy młodych zaś są tak czujne, że żaden drapieżnik ani w dzień, ani w nocy, czujności tej nie zawiedzie, jeżeli szczególne okoliczności mu nie sprzyjają. Z drugiej strony przywiązanie, posłuszeństwo i oddanie się młodych, jest u tych ptaków godne podziwienia. Kiedy młode podrosną o tyle, że mogą fruwać, wówczas starki zmieniają sposób postępowania. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela podrywają się, odlatują razem i znowu razem zapadają: gdy jednak i tutaj są niepokojone, podrywają się ponownie, lecz tym razem rozdzielają się na partye, lub pojedyńcze sztuki, rozlatują się we wszystkich kierunkach, a kiedy zapadną, przypadają lub przysiadają, t. j. przywarowują do ziemi, lub ciekną jakiś czas, aby się dostać w pewniejsze ukrycie. (O kuropatwie mówi się, że „przypada“ wówczas, kiedy, czując niebezpieczeństwo, przyczaja się do ziemi).

Kiedy kogut uważa, że niebezpieczeństwo minęło, zaczyna wabić pierwszy, na co młode odzywają się i stopniowo skupia się stadko z powrotem.

Jeżeli kilka młodych odleci na ubocze, to kogut pozostawia zebrane pod opieką kury, a sam udaje się po resztę młodych, które razem, lub pojedyńczo do stadka doprowadza. Jeżeli młode pozbawione są starek, to wówczas łączą się z drugiem stadkiem.

Kuropatwy, płoszone kilka razy do czasu, aż się następnie uspokoją, trzymają straż; obserwując je bowiem zdala, dostrzega się, że stadko całe niby żeruje przy ziemi i t. p., a zwykle jedna kuropatwa stoi nieruchomo z wyciągniętym łebkiem do góry (co robi wrażenie stożka) i obserwuje ruchy napastnika. Wprawdzie kuropatwa nie ma lotu ciężkiego, nuży się jednak szybko. Kuropatwa, aby się wzbić do góry, porusza silnie i prędko skrzydłami; dostawszy się jednak do pewnej wysokości, może względnie dłuższe odległości przeciągać bez poruszenia skrzydłami, dając jedynie od czasu do czasu szybkim ruchem skrzydeł impuls do dalszego lotu. Wysoko wznosi się niechętnie i nie ciągnie daleko, szczególnie podczas silnego wiatru, który ją z sobą formalnie porywa.

(C. d. n.)

Najnowsza śrótówka trójlufowa.

Fabrykant broni w Suhl wynalazł śrótówkę trójlufową o jednym cynglu, która ma konkurować z belgijską bronią automatyczną. Znawca broni w Austryi, Aleksander Gothard, napisał o tej nowej broni, po odpowiedniem *wypróbowaniu* praktycznem i teoretycznem jej *zbadaniu*, w gazecie fachowej „Schiesswesen“, co następuje:

„Ta śrótówka trójlufowa jest właściwie bronią o jednym cynglu, ale ma ich dwa. Trzeba to tak zrozumieć: pierwszy cyngiel to system jednocynglowy dla dwóch górnych luf śrótowych. Pierwszym cynglem zapalam jedną po drugiej, prawą i lewą (górne) lufy; *prawy strzał zawsze najpierw występuje*. Drugi, spodni cyngiel wyładowywuje *dolną* lufę.

Można tedy strzelać różnemi kombinacyami, rozmaitemi borowaniami luf i gatunkami śrótu. Można dowoli, jak się komu podoba, strzelać albo z lufy prawej, wierzchniej, albo ze spodniej. Trudno więcej wymagać od broni. Jest tylko kwestya jeszcze, czy trzy strzały wystarczają w każdym wypadku? Dla dobrego strzelca jest to stanowczo aż nadto; dla lichego zaś to i pięć strzałów za mało! Z praktyki widać, że śrótówka trójlufowa ma następujące zalety:

1. Waga kalibru 16 wynosi tylko 3 kg., automat kal. 12 waży 3,8 kg.

2. Trzy strzały daje również prędko, jak automat.

3. Trójlufka śrótowa może być uważana, jako zupełnie pewna broń, ponieważ w chwili strzału nie rozwodzi się z tyłu.

4. Jest też o wiele mniej wrażliwa na czynniki zewnętrzne, niż automat. Kierowanie nią jest proste i dla strzelca bardziej poręczne.

W systemie tym trzy wysuwające się sztyfty indykacyjne świadczą, że trójlufka jest odwiedziona. Zabezpieczenie nie jest automatyczne, można je dowoli przesuwać naprzód i wstecz, oraz zabezpieczyć odrazu wszystkie trzy lufy. Zamknięcie jest *toplever* z poprzecznikiem Greenera. Spusty są akuratnie tak urządzone, jak przy dubeltówce. Cena broni w bardzo ładnem wykończeniu wynosi 400 marek.

Przy używaniu broni stwierdzono, że strzela za wysoko, zupełnie jak automat Browninga, ze wszystkich trzech luf. To nowe urządzenie (zresztą niewłaściwe) zaprowadzono niedawno oczywiście dla gorszych strzelców, żeby przeszkodzić dolowaniu.

Broń tę wypróbowano za pomocą tarczy śrótowych Preussa. Są to arkusze papierowe, wielko-

ści 1 m. kw., na których odbite są kręgi o 37$^1/_2$ i 75 cm. średnicy. Gdy celowano na dystans 35 m. do centrum krążka, to cały strzał szedł do górnej części krążka. Gdy zaś celowano o 25 do 30 cm. niżej, to strzał cały grupował się koło centrum, co już jest wadą! Są wprawdzie strzelcy, którzy wolą strzał wysoki, ale nie wszyscy. Sądzimy, że broń ma wtedy prawidłowe położenie punktu celności, gdy strzela tam, dokąd się mierzy.

Poza tem trójlufka śrótowa zachowuje się w praktyce zewnętrznie bardzo dobrze. Nigdy nie przysparza kłopotu, bez względu, jakim się posługiwać cynglem. Najwyżej zdarzyć się może komu, że po pierwszym strzale, zamiast ponownie pierwszego cyngla, chwyci zaraz za drugi. To jednak nic nie szkodzi; najważniejsze jest to, że strzał następuje.

Do trójlufki śrótowej można się przyzwyczaić o wiele łatwiej, niż do automatu. Przypuścić należy, że wszyscy, którzy umieją strzelać, długo jeszcze zostaną przy dubeltówce czéktorowej, a względnie przy trójlufce, których stanowczo nie wyruguje automat".

Do powyższych szczegółów dodaje następującą uwagę „Stacya doświadczalna w Neumannswalde":

„Sprowadziliśmy trójlufkę śrótową i możemy tylko potwierdzić rezultat pomyślny. Przedstawiono nam także trójlufkę z jednym cynglem, która funkcyonowała bez zarzutu. Ze względu jednak na pożądaną zmianę śrótu, wydaje nam się godnem zalecenia urządzanie cynglów, jak je opisał p. G. Zresztą firma Collath we Frankfurcie nad Odrą już od wielu lat buduje trójlufki śrótowe z dwoma cynglami.

Natomiast nie podzielamy zdania p. G. o wybornem położeniu punktu celności. Wymaganie strzału wysokiego nie pochodzi od gorszych strzelców, żądnych tej wygody, lecz przeciwnie zostało wytworzone przez praktykę po bardzo wyczerpujących spostrzeżeniach. Strzelbę kieruje się najczęściej na cel ruchomy, a wtedy bezwiednie trzyma się ją za nizko. Jako najdoskonalsze położenie punktu celności, uważaliśmy zawsze 15 do 20 cm. wysoki strzał na 35 m. odległości; 25 do 30 cm., jak to zauważył p. G., jest oczywiście za dużo. Samo się przez się rozumie, że przy strzelaniu do celu stałego trzeba liczyć się odpowiednio z wysokim strzałem".

Polowanie ze pskowianami.

Wszyscy słyszeli mniej więcej o polowaniu ze pskowianami, lecz mało kto zna bliższe szczegóły o tym, niezwykłym rodzaju łowów, przy którym dwóch, a najwyżej trzech ludzi wypycha z obszernej kniei zwierza na dwa lub trzy stanowiska, a niekiedy na jedno nawet, z góry oznaczone. Aby tego dopiąć, potrzeba niepospolitej znajomości obyczajów gonionej zwierzyny, nic więc dziwnego, że o tych „pskowiczach" cuda się opowiada.

Dotychczas nawet w rosyjskiej literaturze łowieckiej teorya łowów pskowskich nie była opracowana, gdyż żaden z inteligentnych myśliwych nie poświęcił się ich dokładnemu wystudyowaniu. Dopiero w ostatnich czasach ukazała się w miesięczniku „Psowaja i rużejnaja ochota", praca p. Milukowa [1]), w której ten doskonały myśliwy daje mniej więcej pełny obraz pskowskich łowów. O ile z dopisku redakcyi sądzić można, praca ta będzie się kontynuowała i w następnych zeszytach. Postaramy się zapoznać z nią czytelników naszych, gdyż niejeden myśliwy znajdzie w niej drogocenne wskazówki, które i w naszych pędzeniach na grubego zwierza stosowaćby można.

I.

W miarę wzrastania liczby myśliwskich towarzystw i kółek, polowanie ze pskowianami rozpowszechnia się coraz bardziej, stając się dostępnem dla ludzi średnio zamożnych, gdy przedtem było tylko przywilejem bardzo bogatych myśliwych. Jednocześnie zaś coraz częściej widzi się pskowian na usługach osób prywatnych. A mimo to, znajomość tego ciekawego, czysto rosyjskiego polowania jest nader ograniczona, nawet wpośród myśliwych, którzy je praktykują. W literaturze łowieckiej niewiele też mamy o niem wiadomości i wzmianek, a te, które spotykamy, nie charakteryzują sposobów stosowania tych łowów i często pozostają w sprzeczności jedne z drugiemi. Wielu myśliwych uważa pskowskie polowania za najprzyjemniejszy rodzaj łowów, gdy inni nic widzą w nich nic oryginalnego; jedni wynoszą sztukę pskowian pod niebiosa, uważając ich niemal za czarodziejów, gdy inni nazywają ich zwykłymi szarlatanami. Ciekawem jest, że w większości wypadków tak, jedni, jak i drudzy nie zdają sobie sprawy, na czem polega właśnie sztuka pskowian i czem różni się pskowskie pędzenie od zwykłej naganki na zające. W tej właśnie nieznajomości istoty pskowskich polowań leży przyczyna różnicy zdań w ich ocenie.

Ogromna większość myśliwych, utrzymujących pskowian, nie zna bynajmniej pskowskich łowów, jak ich nie zna mnóstwo pskowskich obławników, zalewających prowincyę. Ci popularyzatorowie pskowskich polowań, dzięki rosnącym zapotrzebowaniom, wciskają się nawet w gremia stołecznych towarzystw i kółek, tumaniąc nieświadomych, a narażając na smutne rozczarowanie doświadczonych myśliwych.

Ja osobiście poluję ze pskowianami od lat 25; od lat 9 jestem członkiem Moskiewskiego myśliwskiego towarzystwa, a od lat trzech zarządzam zimowemi polowaniami tego towarzystwa. Widziałem najróżnorodniejszych pskowian, obznajmiłem się ze sposobami wielu z nich i nieraz miałem sposobność podziwiać nieuctwo samozwańców, którzy z prawdziwymi pskowianami mają tylko wspólne miejsce urodzenia (sioło Ostrow, pskowskiej gub.), a niekiedy mniej lub więcej zbliżone pokrewieństwo. Tacy pskowianie często gęsto pędzili „zajęcze zakłady", wypychając na boki lisa ku wielkiej uciesze domorosłych Janków i Elizarków, a ku większemu jeszcze oburzeniu pomarzniętych myśliwych. Przeszedłszy osobiście wszystkie stopnie wiary i niedowierzania, kompletnego nieuctwa i doskonałej znajomości pskowskich łowów,— przyszedłem do przekonania, że niema milszego i pewniejszego polowania. Wybić całe gniazdo wilków, złożone z 7—8 sztuk, przy pomocy dwóch tylko pskowian i przy 6–8 stanowiskach – nie należy bynajmniej do rzadkości; a czyż nie jest prawdziwą rozkoszą ubić zwierza przy jednym tylko tropicielu podczas zadymki, kiedy najlepszy nawet naganiacz traci nadzieję połapania się wśród licznych tropów, w części śniegiem zasypanych! Lub przyłapać w miocie pojedyńczego wilka, gonionego już na przestrzeni 20 wiorst — czyż to nie jest tryumf sztuki łowieckiej! Robota pskowianina, pełna myśliwskiej namiętności, badawczości i niestrudzonej energii, sama przez się zachwyci najobojętniejszego widza, a myśliwemu da zadowolenie, którego nie osłabi nawet ujemny rezultat łowów. Lecz na to trzeba mieć do czynienia ze pskowianinem. Dobry rezultat można otrzymać nawet i przy pomocy tych pastuchów, którzy mianują się pskowianami, lecz leniwa, bezmyślnie monotonna praca, gubienie się przy lada komplikacyi, nie da najmniejszego pojęcia o pskowskich łowach i nie zachwyci bynajmniej myśliwego.

Pragnąc podzielić się z kolegami myśliwymi mojem doświadczeniem, zdecydowałem się uporządkować

[1]) Zamietki ob ochotie s pskowiczami. Rok 1905. Księga I i II.

i opublikować moje notatki, zebrane przezemnie w ciągu wielu lat. Nie mając pretensyi bynajmniej do dania pełnego obrazu, mam jednak nadzieję, że mi się uda wyświetlić mało zrozumiałe dla ogółu sposoby obronić i to, ze wszech miar oryginalne i porywające polowanie od niezasłużonych zarzutów. W przyszłości opiszę wszystkie czynności przygotowawcze, a tymczasem zatrzymam się na najważniejszym, najbardziej charakterystycznym szczególe polowania, t. j. na sposobie pędzenia w jego najprostszej formie, nie skomplikowanej użyciem sznurów z flagami (straszaków), oraz innych, nowszych wynalazków, nieznanych bynajmniej dawnym pskowianom[1]). Wszystkie te „udoskonalenia“ w bardzo małym stopniu przyczyniają się do zwiększenia szans dobrego rezultatu, a natomiast czynią polowanie daleko trudniejszem do przenoszenia z miejsca na miejsce i ułatwiając pskowianinowi samodzielne postępowanie, zmniejszają w znacznym stopniu zainteresowanie się łowami.

Podstawowa zasada pskowiskich łowów może być sformułowana w następującej regule: *pędzić zwierza z wiatrem, pod kątem do linii myśliwych, pchając w tę stronę miotu, ku której zwierzyna nie ma wagi.*

Kąt, pod którym należy pędzić zwierza na stanowiska, zależy od formy i wielkości miotu, od rodzaju (charakteru) okalających ten miot okolic, od liczby obławników, jakimi rozporządzają pskowianie, i wreszcie od ilości stanowisk. W wyjątkowych razach, przy bardzo sprzyjających warunkach, można pędzić i pod prostym kątem do linii, lecz wypadki te są rzadkie; natomiast bardzo często pędzenie odbywa się równolegle do linii, a nawet niekiedy krańcowe stanowiska słyszą pędzenie po za sobą.

Do prawidłowego pędzenia niezbędnym jest udział dwóch pskowian, ażeby utrzymać skrzydła; oczywista, że trzeci zawsze się przyda, a nawet będzie bardzo użytecznym pośrodku; dla pojedynczego pskowianina praca jest bardzo trudna, a jeśli on niema do usług sprytnego pomocnika, — wprost niemożliwa.

(*C. d. n.*).

NOTATKI MYŚLIWSKIE
Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(*Ciąg dalszy*).

Rano przejeżdżamy granice angielskich prowincyj; odmienne mundury kolejowej policyi i krajowych „Sirwarów“ (gatunek żandarmów), wskazuje, że jesteśmy w dominium Jego Wysokości Nizama, taki bowiem tytuł nosi udzielny książę Hayderabadu, najmożniejszy i pierwszy w szeregu krajowych władców, wassalów Anglii. Pierwszym jest on, tak co do obszaru swego państwa, jak i co do bogactwa i świetności dworu, do niego należy Golkonda ze swemi skarbami i polami dyamentów.

Państwo Hayderabad, jedna z licznych prowincyi dawnego imperyum mongolskich cesarzów, równa się wielkością obszaru Francyi i liczy dwanaście milionów mieszkańców. Dzisiejszy Nizam, potomek jednego z jenerałów cesarza Aurungzeba, który po śmierci tego władcy, gdy wielkie cesarstwo rozpadać się poczęło, zagarnął prowincyę dla siebie, ogłosił się jej panem niezależnym i został w ten sposób założycielem dynastyi Nizamów. Nazwa „Nizam“, dzisiejszy tytuł księcia Hayderabadu, wziętą została z tureckiego i do dziś dnia w Stambule w armii padyszacha jest używaną, oznaczając „oddział regularnego wojska“. Zastosowane pierwotnie do cesarskiego jenerała, przeszło słowo „Nizam“ na samoistnego władcę.

W Hayderabadzie na peronie oczekiwał mnie z dworskim powozem adjutant Nizama i zawiózł do przeznaczonego mi mieszkania w rezydencyi pułkownika Newilla, głównodowodzącego armią Nizama. Nawiasem tu dodam, że znalazłem u niego, prócz doskonałego pomieszczenia, tak uprzejme i gościnne przyjęcie, że pobyt w domu państwa Newillów do najprzyjemniejszych chwil w Indyach przebytych, zaliczam.

Pułkownik Newill rozmaite przechodził losu koleje i nim do Heyderabadu się dostał, z różnych, jak to mówią, pieców chleb jadał. Jako młody chłopiec, wstąpił do służby wojskowej w armii austryackiej i w jej szeregach odbył włoskie kampanie; jako rotmistrz od ułanów, między innemi stał załogą w Brzeżanach. Po 1866 r. wystąpił z austryackiej służby, odbył kampanię prusko-francuską, jako komendant oddziału czerwonego krzyża, wreszcie dziwnem losu zrządzeniem, oparł się aż w Hindustanie i przyjął ofiarowaną mu tu posadę w Hayderabadzie z szumnym tytułem „główno-dowodzącego wojskami Nizama“. Dziś, człowiek już nie młody, po rozmaitych życia kolejach, rad zażyć spokojnego żywota na niezbyt wiele dającem mu zajęcia stanowisku komendanta kilku pułków książęcych; materyalnie doskonale postawiony, żyje sobie, jak mały potentat w swej rezydencyi, otoczony przyboczną gwardyą czarnych Afrykańców.

Co do polowania, jeżeli miałem jakie nadzieje na tygrysy, to te szybko się po pierwszych z nim słowach rozmowy rozwiały. Nizam, sam będąc myśliwym, osobiście wybierał się temi dniami z całym taborem i licznym dworem na wielkie łowy na tygrysy i na kilkadziesiąt mil wokoło polowanie było dla niego strzeżone. Wskutek tego nie mogło być mowy o urządzeniu dla mnie jakiejkolwiek większej wyprawy na grubego zwierza. „Jego Wysokość nie zwykł cudzoziemców na swe łowy prosić, jedynie wtedy, gdy sam nie jedzie, rad jest swe łowiectwo na usługi swych gości oddawać“ — tak mi oświadczył adjutant Assur Jung, muzułmanin zangielszczony, faworyt swego pana. „Na przyszły rok“ — dodał, — „Jego Wysokość zapewne nie pojedzie i jeżeli pan powróci, będziemy radzi panu polowanie na tygrysy ułożyć“. Małą mając nadzieję powrócenia w następnym roku, pocieszam się perspektywą polowania dwóch dni na antylopy, które dla mnie jest przygotowane. Prowincye Hayderabadu należą do najlepszych pod względem zwierzostanu miejscowości, polowanie jest strzeżone i tylko za osobistem pozwoleniem Nizama polować wolno. Tygrysów wiele, 10 do 15 sztuk w kilkutygodniowej wyprawie do zwyczajnych rezultatów należy. Na obiedzie i wieczorze u państwa Newillów, poznałem wiele osób z licznej angielskiej kolonii w Hayderabadzie żyjącej. Podobnie, jak w Gwaliorze, wszystkie niemal ważniejsze administacyjne posady krajowego rządu z egzekutywą połączone, są w rękach Anglików; należy to do zasad ogólnej polityki centralnego rządu, by wszędzie „swoich“ mieć ludzi, a wysoka płaca, którą w służbie Nizama pobierają, wielu do Hedryabadu przyciąga. Prócz tego kwateruje obok, w Secunderabadzie, silna załoga angielskiego wojska „dla protekcyi Jego Wysokości“, oraz, by wassal nie zapominał, że jest tylko wassalem Wiktoryi, cesarzowej Indyj. Towarzystwo angielskie tutaj liczne, klub wspaniały, życie światowe nader ożywione.

[1]) Muszę zwrócić uwagę, że pskowskie łowy mogą być stosowane w pełnym swym blasku tylko do wilka i lisa; wszelka inna zwierzyna środkowej Rosyi nie tak dokładnie podlega prawidłowemu pędzeniu.

2 kwietnia. Przed wschodem słońca zajechał po mnie dworski powóz. Z kilkoma strzelcami, otoczony eskortą „Sirwarów“ w pstrych uniformach, ruszyliśmy na antylopy. Niezbyt po myśliwsku to wyglądało, lecz widocznie zwyczaj taki. Pięć mil od miasta zaczynają się t. zw. „shooting preserves“, czyli strzeżone rewiry (*chasse gardée*) Nizama. Dżungla mniej więcej podobnie, jak centralno-indyjska, wygląda, teren równiejszy, roślinność mniej bujna i gęsta, głazów i kamieni więcej, trawa od słońca na popiół niemal spalona — o tej porze roku obraz dezolacyi i pustyni. Ogromne obszary otwartej dżungli roją się literalnie od antylop; stadami po kilkadziesiąt do stu sztuk pasą się spokojnie na resztach trawy, w szczelinach skał i kamieni wyrastającej. Gdzie okiem rzucić, kupkami stoją; kozły zazwyczaj osobno, ciemno-brunatne lub czarne, ze świecącemi rogami, ślicznie odbijając w promieniach wschodzącego słońca na blado-żółtem tle spalonej dżungli. Nie są nazbyt ostrożne, znacznie mniej niż w Gwaliorze, podchodziłem je piechotą, od skały do skały się podkradając, szybko też dopełniłem liczby czterech kozłów, które mi ubić dozwolono. Wybierałem najgrubsze sztuki z pięknemi rogami, do jednej pary udał mi się ładny dublet z prawki i lewki. Piątego kozła o jednym ogromnym rogu postrzeliłem; położył się po strzale, doszedłem go i w rękach go już niemal miałem, gdy się zerwał. Chybiłem do pomykającego, kozioł zmieszał się z uciekającem w oddali stadem i mimo parugodzinnych poszukiwań, przepadł bez śladu. Kulę miał nisko w brzuchu, twardy to jednak zwierz, nieraz śmiertelnie trafiony, światami jeszcze umyka. Mogłem tego ranka śmiało trzydzieści kozłów położyć; w życiu takiej ilości zwierza, na stosunkowo niezbyt wielkim obszarze nie widziałem. Mówią, że antylopy czasami zbijają się w stada do ośmiuset lub tysiąca sztuk razem; pokazuje to tylko błogie skutki jakiegokolwiekbądź szanowania zwierzyny. Innego zwierza w tej miejscowości mało, mniejsza też, niż koło Goony, ptactwa rozmaitość. Najlepszy teren tygrysi około jezior, Pakal zwanych, dalej zaś na południe, o mil sto kilkadziesiąt, rozpoczynają się lasy Mysoru, ojczyzna dzikich słoni.

Po południu pojechaliśmy z pułkownikiem Newill na przechadzkę po angielskiej części Hayderabadu, jak zwykle w Indyach odrębnie i w oddali od właściwego miasta krajowców, położonej. Szerokie, starannie utrzymane drogi, śliczne parki, ładne wille w ogrodach, w cieniu mangosów i tamarindów schowane, katedra anglikańska, kaplica katolicka, baraki wojskowe, klub, koło kursowe, criquet i tennis ground, oto mniej więcej wygląd t. zw. „cantonment“, czyli angielskiej dzielnicy, wszędzie w Indyach prawie jednakowo wyglądającej.

(*C. d. n.*)

POLOWANIE w TURCYI EUROPEJSKIEJ
i krajach sąsiednich.

Przez

Adama Czajkowskiego.

(Z rosyjskiego).

(*Ciąg dalszy*).

Klasztor, mający nam służyć za przytułek, wznosi się o pół godziny drogi od najwyższego szczytu Olimpu i na wschodnim jego skłonie. Widok z niego jest rzeczywiście wspaniały, jak wogóle ze wszystkich tamtejszych klasztorów. Przed oczami roztacza się cała zatoka Salonicka i Archipelag z mnóstwem rozrzuconych po nim wysp. Dalej na wschód, w czasie jasnej pogody, wyraźnie rysuje się wysoki wierzchołek Athosu, tej świętej dla chrześcian góry. Pomimo wojskowego, tureckiego munduru, który miałem na sobie i który bardzo rzadko można widzieć w tych spokojnych samotniach, zakonnicy przyjęli nas nadzwyczaj serdecznie. Bez żadnych wymówek dali nam przewodników i zaopatrzyli w różne niezbędne przedmioty. Po kilku godzinach nasza obława trzymała już w kotle stado muflonów, złożone z piętnastu sztuk. Muflony trzymają się najwyższych szczytów, co czyni polowanie na nie bardzo trudnem i męczącem. Podejść je prawie jest niemożliwe, gdyż mają nadzwyczaj czuły węch, a oprócz tego każde stado jest ochraniane przez kilku samców. Gdy stado pasie się lub spoczywa, stróżujące samce rozstawiają się zawsze na pagórkach lub skałach, panujących nad całą okolicą.

W miejscu, wybranem przez nas na stanowiska, byliśmy zupełnie zakryci od stada, obławnicy zaś pokazali się z przeciwnej strony. Muflony, przerażone ich pojawieniem, straciły głowę i zaczęły uciekać ku nam, przeskakując nadzwyczaj lekko i szybko ze skały na skałę. Wybrałem jedną sztukę, przebiegającą o jakie 50 kroków od skały, za którą byłem ukryty i wystrzeliłem dwa razy. Pierwsza kula, jak przekonałem się następnie, chybiła, lecz druga była śmiertelna i muflon stoczył się do niegłębokiego wąwozu, w którym obławnicy znaleźli go już martwym. Wspaniałego samca zabił także mój towarzysz, ihumen, wyborny strzelec, a przytem posiadający doskonałą strzelbę. Otrzymał ją w darze od angielskiego konsula z Volo, namiętnego myśliwca, często odwiedzającego te góry. Na tem skończyło się nasze polowanie, gdyż korzystając ze sposobności, pragnąłem jeszcze dostać się na jeden ze szczytów Olimpu.

Pasterze mówili nam, że stada muflonów, liczące 40 lub 50 sztuk, wcale nie stanowią rzadkości. Myśliwych zaś w górach jest bardzo mało, więc muflony, rzadko niepokojone, nie są zbyt płochliwe.

Pułki kozaków sułtańskich, w których wtedy służyłem i które stały garnizonem w Tessalii, Epirze i wzdłuż greckiej granicy, urządzały często wielkie, wojskowe polowania, przyczem jedna część kozaków pełniła obowiązki obławników, a druga myśliwych. Takie polowania przynosiły podwójną korzyść: z jednej strony rozwijały zręczność i śmiałość w jeźdźcach, a z drugiej przyczyniały się do tępienia, choć częściowego, bardzo tam licznych, szkodliwych zwierząt, jak wilki, szakale i dziki.

Jedno z takich wielkich polowań, w którem i ja brałem udział, było urządzone nad brzegami zatoki Volo, w dolinie Armiross, graniczącej z Grecyą i oddzielonej od wielkiej, tessalijskiej równiny łańcuchem wysokich wzgórz. O kilka wiorst od miasta Armiross zalega szeroka przestrzeń, poprzecinana wzdłuż i wpoprzek głębokiemi wąwozami i porosła drobną dębiną, ostatniemi śladami wspaniałego lasu. Te, niemożliwe prawie do przebycia gąszcze, poprzecinane czystemi polanami, ciągną się na jakie 10 wiorst wzdłuż morskiego brzegu, a następnie, na długości około dwunastu wiorst, zalegają dolinę aż do góry Ellenos, stanowiącej przedgórze gór Pinda, i do Surpijskiego lasu, rosnącego poniżej tego łańcucha. We wszystkich tych gąszczach trzyma się mnóstwo dzików, wilków, szakali i różnej innej zwierzyny.

Z obydwóch stron gąszczów było rozstawione po trzy szwadrony konnych kozaków w ten sposób, że jeden od drugiego znajdował się o paręset kroków, a każdy był uzbrojony piką. Dwa szwadrony rozmieszczono małemi oddziałami wpoprzek zarośli, żeby odciąć zwierzynę od gór i Surpijskiego lasu. Nakoniec wszyscy pułkowi muzykanci z trąbami i stu miejscowych obławników, wraz ze zgrają najrozmaitszego gatunku psów, rozstawieni byli wzdłuż morskiego brzegu, ażeby ztamtąd ruszyć obławą ku górom. Na dany sygnał muzykanci zaczęli trąbić z całych sił;

oblawnicy z wrzaskiem wkroczyli w zarośla, psy rzuciły się tamże, głośno szczekając, słowem, wszczął się nieopisany hałas. Przestraszone zwierzęta, zaczęły uciekać ze swoich schronisk w dolinę, gdzie byli rozstawieni kozacy, którzy, rzecz prosta, przyjmowali je, jak należy. Po kilku godzinach takiego polowania zdobyto następujące trofea: 15 dzików, między którcmi 2 ogromne odyńce; 12 wilków; 68 szakali; 42 lisy i 1 sarnę. Oprócz tego zaszczuto 86 zajęcy chartami, z którcmi dojeżdżacze stali w pewnej odległości po za główną linią myśliwych.

W polowaniu tem uczestniczył angielski konsul z Volo, były major angielskiej armii, który przedtem służył w Indyach. Mówił on nam, że jeszcze nigdy w życiu nie widział podobnego, myśliwskiego święta.

Zresztą jeden stary dzik zdołał wydostać się i z takiej matni. Rzucił się on do morza, dopłynął do greckiej granicy, odległej o dwie wiorsty, i uciekł, pomimo, że puszczono za nim niejedną kulę.

Prawie wszystka zwierzyna była zabita pikami i pałaszami i pomimo to, nie było ani jednego nieszczęśliwego wypadku, jeżeli nie liczyć, że jeden dzik skaleczył kłem konia w łopatkę. Dzik ten, olbrzymiej wielkości, wyskoczył na kozaków, uzbrojonych nietylko w piki, ale i w karabiny. Gdy się pokazał, charty, stojące w drugiej linii, wyrwały się trzymającemu je kozakowi i rzuciły na dzika. Kozak, który bardzo wysoko cenił swoje psy, widząc je w takiem niebezpieczeństwie, dał ostrogę swej szybkiej i niepłochliwej, arabskiej klaczy i przyskoczył na pomoc, lecz dzik jednem uderzeniem kłów zwalił z nóg klacz. Wtedy jeden z kozaków wystrzelił, lecz zamiast zwierza, zabił wiszącego na nim psa, a zirytowany niefortunnym strzałem, zeskoczył z konia i wetknął dzikowi pałasz w oko. Dzik rzucił się na niego, lecz zanim zdążył uderzyć, drugi kozak, również spieszony, wykłuł mu pałaszem drugie oko. Oślepiona bestya zaczęła się rzucać wściekle na jednem miejscu i o mało nie zbiła z nóg angielskiego konsula, który, polując pieszo, za bardzo się zbliżył do miejsca wypadku. Kozacy dobili bardzo prędko dzika uderzeniami pik i pałaszów.

Podobne polowania bardzo dobrze wpływają na rozwój fizyczny i umysłowy kozaków, a przytem stanowią dla nich wesołą rozrywkę, przerywającą jednostajność wojskowej służby.

(C. d. n.).

POLOWANIE NA GŁUSZCE NAD PRYPECIĄ.

Niefortunna aura w kwietniu dała się mocno we znaki amatorom tego wysokiego sportu, do którego mam zaszczyt oddawna należeć. W ciągu siedmiu dni, od 14 do 21 kwietnia, ani jednego dnia pogodnego; zimno, wiatr, deszcze, ze śniegiem nieustanne, a nadomiar tych rozkoszy—drogi okropne, brody przepełnione wodą, jakby ironicznie wyzywały do walki myśliwca, kuszącego się w nocy podchodzić królewskiego ptaka. To też większą część głuszców podchodziło się w nizkich miejscach, a nieraz w grzązkiem błocie, zalanem porządnie wodą. Pomimo tak niesprzyjających warunków, głuszce grały doskonale, a nawet kilka udało się zabić w czasie silnej burzy i deszczu z wiatrem.

Słonek było dużo, ale skutkiem obfitych zalewów, ciągi ich były rozproszone na całym obszarze lasów i dlatego w typowych i znanych miejscach ich ciągu, mniej się ich spotykało. Skutkiem zaś zimna i ciągłych wiatrów, ciągnęły nieraz bardzo wysoko, szybko i prawie nie chrapiąc. Dzięki jednak obfitości tej wspaniałej zwierzyny w znanych lasach Dereszewicz i Bryniowa, własności pp. Kieniewiczów, rezultat polowania wypadł świetnie. Zabito bowiem 17 głuszców i 12 słonek, a w szczególności:

Hr. Iliński-Kaszowski	głuszców 6,	słonek 6.
P. Antoni Kieniewicz	„ 5,	„ 2.
Dr. W. Stankiewicz	„ 5,	„ 4.
Dr. Wójcicki	„ 1,	„ —.

W. S.

TRUCIE WRON.

(Rzecz na czasie).

W sprawie trucia wron pisze jeden z myśliwych w fachowem piśmie niemieckiem, co następuje, podając praktyczne wskazówki w tym kierunku.

„Tak zwane wrony zimowe opuściły już nas niedawno, ale za to grasują teraz swojskie, wyrządzając znaczne szkody w drobnej zwierzynie. Każdemu uważnemu obserwatorowi tego ptaka chytrego o niezwykle bystrym wzroku, dziwnym wydać się musi fakt, że jednak czasami uda się szczęśliwie młodemu zajączkowi, pozostawionemu na wolnem polu, ujść drapieżnej napaści tych szkodników. Powszechnie też są znane straty, spowodowane przez wrony w zwierzostanie bażancim, z którego one wyławiają liczne gniazda. Pewnego roku obliczyłem około czterystu jaj bażancich, wypitych przez wrony. Liczbę tę trzeba jeszcze znacznie powiększyć, ponieważ pewien gatunek wron (wrony modre) zjada jaja razem ze skorupą.

Strzelanie, łowienie i wybieranie gniazd wronich mało są skuteczne z powodu wielkiej mnogości tych najgorszych wrogów naszej drobnej zwierzyny i z powodu wielkiej chytrości tych ptaków. Myśliwy musi więc z konieczności jąć się trucizny, jeżeli chce osiągnąć skutek wybitny. Nie trzeba zresztą w tej porze kłaść zbyt dużo trucizny. Wystarczy umieścić po jednej gałce trującej, lub najwyżej po dwie, w czasie, gdy wrony chodzą w parach.

Ażeby te ptaki zwabić lub też zwrócić ich uwagę, kładzie się w pobliżu gałek skorupę jajową z zamkniętym końcem, do góry zwróconym. Do trucia biorę drobne rybki, wróble, a później latem — młode wróbelki, do których wnętrza wkładam rodzaj powideł z fosforu, wielkości grochu. Trucizna znika prędko, gdyż oprócz wron, połykają chętnie tę przynętę inne także drapieżniki, szczególnie te, które lubią skorupy jajowe. Trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę na to, że wrona skorupę gotowanego jaja zawsze odwraca lub rozbija, natomiast zjada skorupę jajka, z którego wyjęto zawartość w stanie surowym.

Obawa o to, że pies myśliwski otruje się przy tej sposobności, jest, podług moich spostrzeżeń, bardzo nieznaczna, gdyż pies nie zjada surowej ryby, a dobrze wytresowany pies nie powinien także dotknąć wróbla zdechłego. Pozatem można polecić składanie trucizny zawsze na tem samem miejscu lub w oznaczonej okolicy i nie wybierać się w te strony w towarzystwie psa. Od ośmiu lat kładę mnóstwo tych trucizn w taki sposób, a dotąd nie zaszło nic podobnego, żeby się pies otruł. Nie zdarzyło się nawet otrucie psów—włóczęgów.

Pomiędzy wronami są jednak sztuki zawsze mądrzejsze od wielu innych, i takie nie biorą przynęty zatrutej. Trzeba więc tutaj próbować kłaść młode króliki zatrute lub pełne jaja. Ale są wrony niektóre tak mądre, że i na to się nie złapią; przeciw takim walczyć trzeba za pomocą strzelby. Przy starannem obserwowaniu można odróżnić te najmądrzejsze wrony od innych".

Z Ogólnego Zgromadzenia.

W d. 18 maja r. b. odbyło się Ogólne Zgromadzenie (wyborcze) Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Przewodniczył obradom p. Aleksander Szwede; asesorami byli pp. St. Rostkowski i Wigura, trzymającym pióro — p. Antoni Fabjan. Obecnych było 50 Członków.

Po zatwierdzeniu protokółu z poprzedniego zebrania, przystąpiono do obrad nad budżetem tegorocznym Oddziału. Budżet przewidywał sumę dochodów i wydatków na 38,800 rb. Na Zgromadzeniu interpelowano Radę, dlaczego nie wprowadziła do budżetu odnośnych cyfr na urządzenie wystawy psów i konkursów strzeleckich w r. b. Rada wyjaśniła, że przed kilku tygodniami, gdy obradowano nad budżetem, w Warszawie panowały takie nieporządki i zamieszki uliczne, których końca przewidzieć nie było można, wobec czego postanowiono w r. b. wystawy, ani konkursu strzeleckiego nie urządzać. Ogólne Zgromadzenie jednak było odmiennego zdania. Zgadzając się z poglądami Rady, że wystawa psów byłaby nie na dobie, żądało urządzenia konkursów strzeleckich w r. b. i wyznaczenia na ten cel 500 rb. w budżecie.

Budżet przeto w tym punkcie zmieniony został, czyli, że przybyła w wydatkach suma 500 rb. na konkursy strzeleckie, opracowaniem których zajmie się Wydział Ochrony i Polowań wraz ze specyalną komisyą.

Przedstawiono również Ogólnemu Zgromadzeniu żądanie Głównego Towarzystwa w Moskwie, aby od każdego Członka opłacał nasz Oddział pewną sumę na rzecz Towarzystwa Głównego, którego fundusze nie są obfite, a wydatki, z powodu Wystaw i nagród, przyznawanych Wystawom prowincyonalnym—znaczne. Rada, idąc za przykładem charkowskiego Oddziału, zaprojektowała roczną opłatę w stosunku 25 kop. od każdego Członka naszego Oddziału — co Zgromadzenie Ogólne zatwierdziło. Wyniesie to koło 160 rb. rocznie.

Zatwierdziło również Ogólne Zebranie projektowaną przez Wydział Ochrony i Polowań, zmianę regulaminu polowań zbiorowych w punkcie, dotyczącym strzelania rogaczy. Odtąd dozwolone będzie w naszym Oddziale polowanie na rogacze z podjazdu, na warunkach, jakie podaliśmy w poprzednim numerze „Łowca Polskiego“, z tą zmianą, że zupełnej ochronie rogacz podlegać będzie na dzierżawach Oddziału w marcu, kwietniu i maju.

Stosownie do istniejącego w naszym Oddziale od jego założenia, zwyczaju, zaproszono na Członka Honorowego Oddziału nowego Naczelnika kraju, generała adjutanta Maksimowicza.

Następnie przystąpiono do wyborów.

Na Prezesa Oddziału wybrano przez aklamacyę ponownie generała Iwanowa.

Głosowanie dało następujące rezultaty:

Na Sekretarza Oddziału wybrano p. Wacława Paszkowskiego;

na Kasyera Oddziału — p. Adolfa Korsaka (ponownie);

na Członków Rady — pp. Józefa Zarembskiego, Antoniego Jacuńskiego (obu ponownie), dr. Henryka Dziedzickiego, Dyrektora Kancelaryi General-Gubernatora Jaczewskiego i ks. Stefana Lubomirskiego (ponownie);

na Przewodniczącego w Wydziale Ochrony i Polowań—p. Władysława Słonczyńskiego (ponownie);

na Członków tegoż Wydziału — pp. Józefa Zarembskiego i Starzyńskiego;

do Delegacyi Wyborczej na członków — pp. Aleksandra Jałowieckiego, Juliana Szuszkowskiego, d-ra Władysława Tyrchowskiego, Franciszka Karpińskiego, Władysława Słonczyńskiego, Stanisława Czerniewicza; na zastępców—pp. Awenaryusza, Jana Lilpopa, Adolfa Kaczorowskiego, Dzięgielewskiego i Szulca.

Wykazy Myśliwskie.

W rewirze Franciszka Józefa na Węgrzech, Gödölö, ubito i wytępiono w r. z.

Zwierzyny użytecznej: 310 jeleni, 125 dzików, 134 sarny, 4,043 zające, 3,053 króliki, 2,575 bażantów, 4,950 kuropatw, 3 jarząbki, 105 słonek, 42 kaczki, 52 przepiórki, 99 różnych—razem 15,491 sztuk.

Drapieżników: 2 wydry, 277 lisów, 23 borsuki, 26 kotów, 5 kun szlachetnych, 12 kun skalnych, 102 tchórze, 271 łasic, 173 jeże, 785 różnych, 3 orły, 90 jastrzębi, 166 kań i myszołowów, 178 sów, 275 sokolików, 1,965 srok i wron — razem z różnemi 4,837 sztuk. Wszystkiego razem 20,328.

Z tego cesarz sam ubił 2 jelenie, 19 dzików, 11 sarn, 91 zajęcy, 34 królików, 260 bażantów, 4 kuropatwy—razem 421 sztuk.

W rewirach wiedeńskiej cesarsko-królewskiej, dyrekcyi myśliwskiej ubito i wytępiono w r. z.

a) Zwierzyny użytecznej: 1,173 jelenie, 120 gemz, 370 sarn, 3,784 zajęcy polnych, 1 górski, 964 króliki, 41 głuszców, 40 cietrzewi, 1,122 bażanty, 18 jarząbków, 1,854 kuropatwy, 839 kaczek, 117 słonek, różnych 3—razem 10,466 sztuk.

b) Drapieżników. 439 lisów, 41 borsuków, 48 kun szlachetnych, 27 skalnych, 174 tchórze, 282 łasice, 3 wydry, 435 kotów, 106 psów—razem 1,555; 1 orzeł, 180 jastrzębi i myszołowów, 389 sokołów, 3 kanie, 2,157 srok i wron, 27 sów, 60 zimorodków i kosów, 850 jaj — razem 3,667 sztuk; wszystkiego drapieżników 5,222. Razem zwierzyny sztuk 15,668.

Na Szlązku górnym, w dobrach hr. Schaffgotscha ubito i wytępiono w r. z.

a) Zwierzyny użytecznej: 36 jeleni, 179 danieli, 130 kozłów, 174 sarn, 6,855 zajęcy, 6,799 królików, 12 dzików, 4,290 bażantów, 43 słonki, 6 bekasów, 3,373 kuropatwy, 551 kaczek, 25 przepiórek, 139 ptaków większych; razem 22,612 sztuk.

b) Drapieżników: 6 borsuków, 14 lisów, 17 kun, 214 tchórzy, 713 łasic, 175 jeży, 599 wiewiórek, 3 czaple, 130 ptaków drapieżnych dużych, 215 małych, 752 srok i wron. 589 dębosieków, 233 psów, 390 kotów; razem 4,050 sztuk. Wszystkiego 26,662.

W pruskich rewirach dworskich ubito i wytępiono w r. z. 225 jeleni i 713 śpiczaków, 542 danieli, 2,198 śpiczaków, 228 dzików starych i 545 młodych, 343 sarn, 625 bażantów, 3,959 zajęcy, 2,697 kuropatw, 389 gęsi, kaczek i słonek, 328 czapli i kormoranów, 474 lisów, 108 kun, 120 tchórzy, 282 łasice, 279 ptaków drapieżnych i 2419 różnych— razem 16,384 sztuk.

Drobiazgi myśliwskie.

Wczesne lęgi. Z różnych stron dowiadujemy się, że tegoroczny łąg zwierzyny jest bardzo wczesny. Z dóbr Staszowskich donoszą nam, że już w d. 1-ym

maja spotkano koźlę dwutygodniowe, towarzyszące matce. W Skierniewicach również kozy chodzą już z koźlętami.

W dobrach Osieckich, we wsi Jaźwiny, straż myśliwska widziała w d. 1 maja stadko parodniowych kuropatw.

Przy sposobności nadmieniamy, że wiadomości o ilości zajęcy brzmią bardzo pomyślnie. Wszędzie widuje się zające w obfitości i chowające się zdrowo.

Konkursy strzeleckie, wiosenne, urządzone staraniem Zarządu Strzelnicy Warszawskiej, mają się rozpocząć w d. 1 czerwca i trwać będą do 25 tegoż miesiąca.

Z powodu niespokojnych czasów. Łódzkie Towarz. Strzeleckie postanowiło w r. bież. nie urządzać tradycyjnej uroczystości strzelania do tarczy i wyboru króla kurkowego podczas Zielonych Świątek. Postanowienie to wywołane zostało ogólnem podnieceniem umysłów z powodu obecnych, niespokojnych czasów.

Ogród zoologiczny dla Wilna. Hr. Antoni Tyszkiewicz, jak pisze „Kraj", przygotowuje miastu Wilnu nowy prezent: w parku, przy ul. Jarosławskiej, który hrabia swoim kosztem urządza dla miasta, ma się stworzyć coś w rodzaju ogrodu zoologicznego, z licznemi okazami zwierząt różnych.

Koloniści a zwierzyna pod Spałą. Na posiedzeniu Oddziału Tow. Hygienicznego w Piotrkowie, między innemi sprawami, była przedstawiona nędza, panująca wśród kolonistów w Kamockiej Woli, wiosce, o 12 wiorst odległej od Piotrkowa i zamieszkanej przez przesiedleńców z lasów Cesarskich w Spale. Byli oni gnębieni stale przez zwierzynę, która im niszczyła zasiewy; dziki zjadały im ziemniaki, przyczem za wyrządzone szkody otrzymywali wynagrodzenie w stosunku 8 rb. rocznie za t. zw. półhubek, liczący w danym wypadku 18 morgów. Mieszkańcy Lubanowa w parafii Blogie i innych wiosek z tej samej lub sąsiedniej, białobrzeskiej parafii, zgodzili się około trzech lat temu na przesiedlenie na grunta majątku Kamocka Wola w pow. piotrkowskim, której część nabył w tym celu zarząd Księstwa łowickiego i podzielił między kolonistów w stosunku morgi za morgę.

Ciąg słonek w Moskwie. W okolicach Moskwy widziano pierwsze słonki d. 8 (21) kwietnia. D. 9 (22) i 10 (23) kwietnia było ich już bardzo dużo, a jednemu z myśliwych udało się dubletem ubić odrazu trzy słonki na ciągu.

Tokujące cietrzewie. W pismach myśliwskich spotyka się często reprodukcye obrazów, przedstawiających tokujące cietrzewie, przyczem koguty mają zawsze dzioby otwarte. Otóż doświadczeni myśliwi wiedzą, że to postawa nieprawidłowa. Tokujący kogut przy telękaniu ma zawsze dziób zamknięty, a otwiera go w pewnych odstępach czasu dla zaczerpnięcia powietrza zaledwie na jaką $^{1}/_{10}$ część sekundy. Przy „czuszykaniu" otwiera dziób i o ile sam tokuje, unosi się trochę w górę (podfruwa). Również walczące koguty nie otwierają nigdy dziobu, a mimo to na obrazach są przedstawione przeważnie z otwartemi dziobami.

Rysie na Węgrzech. W lasach miasta Leutschau, Iglo i rewirach księcia Ferdynanda bułgarskiego przy Kaposztasfalu, rysie pożerają obecnie dużo zwierzyny użytecznej. Węgierskie ministeryum rolnictwa wyznaczyło nagrody za tępienie rysiów, wskutek czego od Nowego Roku do końca kwietnia ubito 5 rysiów.

Nagrody za tępienie ptaków drapieżnych. Związek niemieckich zwolenników gołębi pocztowych wyznaczył na r. b. 3,000 marek na nagrody za tępienie sokołów wędrownych, jastrzębi i krogulców-samic. Na tenże cel daje ministeryum wojny 500 marek. Z tej sumy rozdzieli się 2,900 m. stosunkowo do ilości dostarczonych drapieżników, a 600 jako premium dla tych, którzy najwięcej ubiją. Ubiegający się o nagrodę, muszą dostarczać obie nogi drapieżnika, ucięte do pierwszego stawu. W r. z. nadesłano 3,074 par nóg drapieżników (128 sokołów wędrownych, 1,101 jastrzębi i 1,845 krogulców).

Zaraza na zające szerzy się obecnie w niektórych rewirach Francyi. Wywołało to niepokój śród myśliwych, natomiast rolnicy są z tego zadowoleni, ponieważ jednocześnie giną króliki. Oczywiście, że z punktu widzenia przyrodniczego nie można sobie życzyć wyginięcia żadnego gatunku zwierzyny; przyrodnicy narzekali przecież nawet na ewentualność zupełnego wytępienia wężów jadowitych w Brazylii. Słynny instytut Pasteura w Paryżu podjął się zbadania przyczyny zarazy obecnej na zające we Francyi. W tym celu nadsyłają do instytutu liczne okazy zajęcy i królików martwych, znalezionych na polach. Należy tu przypomnieć, że Australia swego czasu nie miała wcale zajęcy, ani królików; gdy jednak jakiś amator sprowadził pewną ich liczbę, rozmnożyły się one potem tak strasznie, że zagroziły gospodarstwu rolniczemu. Zwrócono się wtedy do instytutu Pasteura o środek na wytrucie królików, ale nadaremnie. Wtedy Australczycy sami sobie poradzili, wytwarzając handel skórkami króliczemi i zamrożonem mięsem królików na wielką skalę. Niewiadomo, czy teraz uda się uczonym z instytutu Pasteura wynaleźć środek odwrotny na utrzymanie zajęcy i królików.

Kłusownik oblężony. 70-letni Franciszek Roy, niegdyś zamożny włościanin we wsi Usseau pod Châtellerault, we Francyi, przyjął przed dwoma laty stanowisko gajowego. Na stanowisku tem okazywał niezmierną surowość względem kłusowników i złodziejów drzewa, w końcu jednak wyszło na jaw przypadkiem, że sam zajmował się gorliwie kłusownictwem. Niejaki Grandpied pochwycił go rok temu na gorącym uczynku strzelania do zajęcy w czasie zakazanym i doniósł o tem władzom. Pozwany do sądu, Roy musiał zapłacić 50 fr. kary. Chęć zemsty zagorzała w sercu starca. Przez rok przeszło czyhał na sposobność wywarcia jej na denuncyancie. Nareszcie dwa tygodnie temu spotkał go na drodze. Zmierzył się tedy natychmiast ze strzelby, wystrzelił i zranił Grandpied'a śmiertelnie. Dokonawszy tego czynu, wrócił do domu i zabarykadował się w nim szczelnie. Wieśniacy, znalazłszy ranionego na drodze, donieśli o tem do gminy. Domyślono się natychmiast, że Roy jest sprawcą zbrodni, wydelegowano więc żandarma i pisarza gminnego, aby aresztowali starca. Zaledwie jednak delegaci podeszli do domu Roya, padły dwa strzały z poza ściany i obaj ranni śrótem, musieli zmykać co prędzej. Zarządzono tedy środki ostrzejsze. Zawiadomiono prokuratora i sprowadzono kompanię piechoty, oraz brygadę żandarmów. Rozpoczęło się oblężenie. Jednemu z żołnierzów zdawało się, że ujrzał starca w oknie. Wysunął się więc z za krzaka i dał ognia, w tej samej atoli chwili padł sam z kolanem, przeszytem kulą. Sprowadzono w końcu oddział żołnierzy artyleryi, urządzono podkop według wszelkich prawideł inżynieryi wojskowej i podłożono melinit. Dwie ściany domu wyleciały w powietrze, piechota rzuciła się do szturmu i Roya ujęto.

Łowiec tygrysów. Gość opuszcza sklep z pustemi rękoma. Właściciel sklepu ze zdziwieniem do subiekta:

— Jakto?... Ten pan nie kupił tej skóry tygrysiej?

— A nie kupił.

— Dlaczego?

— Powiedział, że nie jest prawdziwa.

— A jednak jest ona prawdziwa!

— To też ja, widząc, że ten pan ma pewną wątpliwość, chciałem mu ją wybić z głowy i zapewniłem go, że to ja upolowałem tego tygrysa.

— Cóż on na to?

— Zabrał się i wyszedł...

* * *

Przezorny. Radca, wybierając się na polowanie, wstępuje do handlarza zwierzyną i zapytuje:

— No, co tam jest dziś dobrego, coby można trafić?

Treść Nr. 11 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków, półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Мая 1905 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.